

Lubuskie obywatelskie, czyli co wynika z uderzania głową w mur

Czy obywatele województwa lubuskiego tworzą już społeczeństwo obywatelskie? Jak wygląda rozwój obywatelskiej aktywności grupowej: organizacji pozarządowych, wspólnot lokalnych i samorządowych, nieformalnych ruchów społecznych? Wprawdzie w podsumowaniach i statystykach liczba takich grup jest stosunkowo niewielka i Lubuskie plasuje się na końcu rankingów krajowych, ale jesteśmy przecież województwem o niewielkiej stosunkowo liczbie ludności, nie powinno nas niepokoić, że województwa lubuskie i opolskie mają najmniejszą liczbę organizacji pozarządowych w kraju, skoro mają także najmniej ludności.

Dużo ważniejszą kwestią jest, czy takie grupy mają u nas dobre warunki, żeby powstawać i się rozwijać, a także, czy oddolne inicjatywy społeczne mają szanse wypracować rozwiązania społeczne dla wszystkich obywateli. Siła organizacji pozarządowych w dialogu z państwem jest najlepszym wskaźnikiem demokratyzacji życia. Wystarczy spojrzeć na rozwinięte demokracje. W porównaniu z USA czy Zachodnią Europą tylu Polaków nie należy do żadnego bytu, ilu Amerykanów czy Europejczyków należy. Ci nasi rodacy wyjeżdżają na Zachód, którzy chcą wtopić się w tamtejsze społeczności, zintegrować i przynależeć do klasy

społecznej adekwatnej do ich wykształcenia i pozycji w Polsce, konstatują, czasem ze zdziwieniem, że warunkiem przyjęcia dziecka do dobrej szkoły czy klubu sportowego jest przynależność rodziców do jakiejś zorganizowanej grupy, nawet klubu wielbicieli lokalnego sera, czy golfowego. Obywatel należący do NGO (non governmental organization, międzynarodowy skrót oznaczający organizację pozarządową), to obywatel wzbudzający zaufanie, obywatel świadomy swoich praw i obowiązków wobec społeczności, otwarty na współpracę i dialog, nieobojętny na sprawy wspólnoty. Taki obywatel wzbudza szacunek. Obywatel w nic niezaangażowany wygląda podejrzanie, w krajach anglosaskich dowodzi swoim postępowaniem przynależności do najniższej klasy społecznej, z którą społeczeństwo po prostu się nie liczy.

Polacy mają negatywne skojarzenia z pracą społeczną i niestety przez 20 lat po 1989 roku niewiele się zmieniło. Wystarczy spojrzeć na kwestię przekazywania 1 procenta z płaconych przez nas podatków na rzecz samodzielnie wybranej organizacji pożytku publicznego. Jeśli tak bardzo nie lubimy podatków i denerwuje nas, na co rządzący i urzędnicy je przeznaczają, to przecież decyzja o przekazaniu tej jednej małej części

na wybrany przez nas cel powinna być naturalnych odruchem. A tak nie jest. Ta niewielka część obywateli, przekazując 1 procent, przekazuje go zazwyczaj na rzecz ogromnych organizacji ogólnopolskich reklamujących się w telewizji, a skoro się reklamujących, to dysponujących niewyobrażalnym dla zwykłego obywatela budżetem i dziesiątkami ludzi na etatach. Wpływy na konta organizacji działających na rynku lokalnym, a więc mających rzeczywisty wpływ na życie statystycznego obywatela, są ciągle mniejsze, niżby na to wskazywała logika. Małe organizacje dysponujące niewielkim budżetem mają też ograniczone możliwości w staraniu się o dotacje celowe; wysokość dotacji niemal zawsze zależy od wpływu środków na konto organizacji w roku poprzednim. Organizacje z małym budżetem mogą się starać o niewysokie granty. Wiele organizacji nie jest zatem w stanie wywalczyć dla swojego pomysłu na realizację projektu naprawdę dużych pieniędzy, zwłaszcza jeśli nie jest powiązana z lokalnym establishmentem, ale o tym niżej. Ten problem zauważono, stąd tak wiele jest programów wsparcia finansowego dla organizacji młodych i pracujących w niewielkich społecznościach.

W przypadku dotacji mówi się o dotacjach płaconych z góry i z dołu, to znaczy pieniądze otrzymuje się na realizację projektu albo przed jego rozpoczęciem, czasami w kilku transzach, albo po jego zakończeniu, co zmusza organizację do kredytowania projektu. Molochy z wielkimi pieniędzmi na koncie mogą sobie na to pozwolić (także na zainwestowanie w kosztowne akcje reklamowe), średniaków i małych organizacji po prostu na to nie stać. Taka praktyka jest bardzo często stosowana zarówno przez fundacje polskie i międzynarodowe wspierające rozwój społeczeństwa obywatelskiego, jak i agendy rządowe lub urzędy rozdzielające środki europejskie. Wiele środków jest więc z góry niedostępnych dla mniejszych ruchów społecznych. Zwrot następuje czasami bezpośrednio po zakończeniu projektu, czasami nawet po kilku latach. Na palcach jednej ręki mogą policzyć fundacje otrzymujące pieniądze od prywatnych donatorów i wielkich koncernów,

by przekazać je niżej, do NGO-sów i niestosujące praktyki przetrzymywania środków. Dlaczego tak się dzieje? Bo te fundacje żyją z oprocentowania kont. O ile fundacje można zrozumieć, zupełnie w tym wypadku nie rozumiem państwa, które w przypadku części środków unijnych stosuje analogiczną praktykę. Powód jest ten sam, ale skutki są opłakane; znam organizacje, które się zadłużają i takie, których już nie ma, bo nie doczekały zwrotu środków i zwyczajnie zbankrutowały. Czasami słyszę argument, że jest to sposób gwarantujący rzetelną realizację projektu, ale to nieprawda, bo równie często jest inna praktyka zabezpieczająca poprawność realizacji zadania i wydatkowania środków, a mianowicie: zmusić prezesa do podpisania weksla *in blanco*, zdarza więc się, że gwarantuję własnym majątkiem poprawność realizacji projektu, mimo że zwyczajnie w nim nie pracuję i nie zarabiam.

Sytuacja w Lubuskiem nie odbiega zasadniczo od sytuacji w całym kraju. Organizacja, w której pracuję, mimo lat doświadczenia i ilości zrealizowanych projektów nie występuje i nie będzie występować w konkursach o dotacje wypłacane po realizacji projektów, zwyczajnie i po prostu nie chcemy ponosić ryzyka finansowego.

Agendy rządowe i urzędy stosują więc taką praktykę z takich samych pobudek: z pozycji silniejszego dyktują warunki grantobiorcom i zachowują się jak rentierzy. Dramatycznie hamuje to rozwój sektora pozarządowego i umożliwia absorpcję środków niekoniecznie przez tych, którzy pracują efektywnie. Widziałam już instytucje stworzone ze środków unijnych, w których absolutnie nic się nie dzieje, po korytarzach sную się pracownicy, tylko beneficjentów nie można spotkać. Są takie projekty, których uczestnicy mogą się w trakcie realizacji projektu wykruszyć, uznawszy, że projekt jest do niczego i szkoda nań czasu, a projekt w najlepsze trwa dalej. Tak się zdarza w wypadku partnerstwa, gdy partnerem NGO-su jest lokalny urząd. Urzędowi i jednostkom samorządu lokalnego nie grozi bankructwo, stąd marzeniem każdego NGO-su jest znaleźć dla swojego projektu partnera zapewniającego finansowanie

działań, mimo czasowego braku dotacji lub płacenia po zakończeniu projektu. A to niełatwe.

Organizacje, żeby działać, potrzebują albo ciężkiej pracy w wolontariacie i ogromnego zaangażowania przyjaciół, albo po prostu pieniędzy. Z tym pierwszym rozwiązaniem jest taki problem, że entuzjazm zazwyczaj na długo nie starcza i o ile nie ma grupy charyzmatycznych przywódców gotowych przez długi czas łączyć pracę zawodową ze społeczną, organizacje umierają śmiercią naturalną. Z pieniędzmi jest tak, że jeśli jest się wiernym własnej wizji organizacji i jej celów, to pieniądze czasem są, a częściej ich nie ma. Pojawiają się więc byty nastawione na szukanie pieniędzy i po prostu zarabianie w trzecim sektorze. Te pierwsze organizacje minimalizują koszty osobowe i administracyjne, opierają się na pracy wolontariuszy, te drugie – odwrotnie, NGO to po prostu miejsce ich pracy. Obie grupy są wzajemnie wobec siebie nieufne, zwłaszcza że organizacje działające na rzecz innych organizacji, wspierające ruch NGO, to zazwyczaj tak zwani zawodowcy. Tego typu organizacje żyją z organizowania szkoleń, które właśnie są powodem niechęci, bo znalezienie dobrego szkolenia, kompetentnie przeprowadzonego – jest naprawdę trudnym zadaniem. Środki na te szkolenia są, a szkolący częstokroć przygotowują się do wykładów czy warsztatów, kopiując z internetu. Problem ze szkoleniami nie dotyczy tylko działaczy społecznych, pracownicy budżetówki też często muszą uczestniczyć w szkoleniach, co do poziomu których mają poważne wątpliwości. Zdarzają się szkolenia wyjazdowe i tu ważniejsza od poziomu zajęć jest klasa hotelu i atrakcyjność miejscowości uzdrowskiej.

Organizacje świadome słabości w pojedynkę, usiłują tworzyć byty wspólne, różne porozumienia, ruchy, platformy, kongresy i rady. Niemal zawsze jednak w takim wypadku popełniany jest grzech pierworodny – inicjatorzy myślą o własnej sile i własnym prestiżu, a nie reprezentowaniu środowiska. Myśli się raczej tak: za nami stoi kilkanaście czy kilkadziesiąt organizacji, więc z nami trzeba się liczyć; zamiast: reprezentujemy dużą grupę

organizacji, z którymi trzeba się liczyć. Przy zakładaniu tego typu rodzaju porozumień pojawia się zazwyczaj jedna dominująca organizacja, która usiłuje nie zapraszać do grona innej silnej organizacji, żeby czasem nie dać się zdominować. Wygląda to czasami komicznie, gdy powołuje się jakieś forum, dzwoni się do organizacji wiele lat działającej na danym polu i prosi się, żeby się absolutnie nie pojawiała, po czym udaje się, że konkurencji nie ma.

Lekceważenie osiągnięć i dorobku konkurencji jest na porządku dziennym. Współpraca jest rzadka, wzajemne wspieranie się w tak banalnych czynnościach jak rekomendacja projektów i poręka dla wkraczającej na rynek grupy praktycznie nie istnieje. W efekcie każdy sobie rzepkę skrobie. A rekomendacje są istotne, ktoś przecież musi potwierdzić, że ludzie tworzący dany byt są poważni i wiarygodni, i warto z nimi współpracować oraz powierzyć im środki na dany projekt. Wzajemna rywalizacja przy nikłości rynku i środków do zdobycia jest oczywista, ale nie powinna przesłaniać ani dobra sektora, ani dobra beneficjentów naszych działań. Wzajemne podszczypywanie się to chyba taka trochę polska specjalność, niestety. Podobnie z postawą wyparcia: jeśli będziemy udawać, że danego problemu nie ma, to on umrze śmiercią naturalną, zrozpaczony brakiem należytej uwagi i zainteresowania. Podobnie dzieje się z konkurencją, co jakiś czas jakiś nowy lokalny byt pracujący na rzecz tej samej grupy beneficjentów udaje, że organizacji, w której pracuję, nie ma. Taką strategię stosują też lokalni politycy. Zdarzyło nam się, że odbierałyśmy prestiżową nagrodę za działalność społeczną, a na lokalną imprezę dla instytucji pracującym na tym polu nie zostałyśmy nawet zaproszone. Nie jesteśmy wyjątkiem. A od wzajemnego bicia się łopatkami piasku w piaskownicy nie przybędzie. Część organizacji zamiast stawiać na rzetelną pracę i kontakt z beneficjentami, stawia na przyjaźnie z politykami. Te kontakty nie są przecież niczym złym, wręcz są wskazane, ale nie mogą stanowić o jedynej sile organizacji, bo to krótkotrwała perspektywa. Ale taka strategia staje się dla części organizacji jedyną wobec

słabości sektora w konfrontacji z systemem, trzeba po prostu znaleźć silnego stronnika, tak zwane plecy. Stąd w środowisku NGO widoczne są podziały polityczne, określone organizacje sytuuje się na obrzeżach danej partii politycznej. Doszliśmy do takiego momentu, że apolityczność albo poprawne relacje z politykami różnych opcji są podejrzane i wzbudzają nieufność. W podziale na „swoich” i „nieswoich” organizacje, usiłujące zachować apolityczność i niezależność, zawsze są „nieswoje”.

Z perspektywy 10 lat pracy w organizacji społecznej dostrzegam kilka paradoksów w sytuacji mojej i ludzi angażujących się w działalność pozarządową.

Najsilniejsze na rynku lokalnym są oddziały organizacji ogólnopolskich, choć one reagują na problemy ogólnokrajowe, nie specyficzne, lokalne. Ich mobilność bywa mniejsza, decyzyjność ograniczona, strategia – podporządkowana organizacji-matce lub organizacji-czapie. Siła bytów lokalnych we wpływanie na rzeczywistość jest dużo mniejsza. Ta prawidłowość dotyczy także organizacji związanych z Kościołem katolickim. Zwyczajnie mają fory. Odważnych do zadzierania z najsilniejszą instytucją w Polsce nie ma, czy mówimy o samorządzie lokalnym, czy państwie. Wystarczy popatrzeć na petycje, postulaty, projekty ustaw: jeśli mają poparcie hierarchów czy lokalnego proboszcza, prawdopodobieństwo przepchnięcia ich od założeń do praktycznej realizacji jest wysokie, odwrotnie proporcjonalne niż w przypadku pomysłów bez takiego poparcia. Przyznaję uczciwie – przemawia przede mnie zazdrość.

Coraz częstsze są w kraju i w naszym województwie inicjatywy krótkotrwałe, niesformalizowane – ludzie spontanicznie grupują się wokół problemu: wycinają drzewka, budują coś okropnego. Reagują, gdy zdarzyło się nieszczęście, zachorowało ciężko dziecko. Obywatele piszą petycje, organizują protesty, happeningi, zbiórki, koncerty. Takich wydarzeń w regionie jest sporo, nie zawsze przynoszą oczekiwany skutek, co niestety hamuje zapał ludzi w następnej, podobnej sytuacji. Ale jeśli się udaje wpłynąć na rzeczywistość, ludzie się integrują, a nawet zaprzyjaźniają,

zwiększa się ich poczucie bezpieczeństwa i samoocena, stają się społecznością prawdziwie obywatelską. Tak się rodzą czasami grupy sformalizowane. Dobrze, jeśli taką inicjatywę zauważą i wesprą lokalne media. Z takich inicjatyw wywodzą się często politycy z prawdziwego zdarzenia, którzy we władzy widzą szansę działania na rzecz dobra wspólnego i efektywnego wpływu na lokalny świat.

Im mniejsza miejscowość, tym lepsza współpraca z władzą lokalną. Spotykam młode organizacje, jeszcze bez dorobku i osiągnięć, pytam o współpracę z władzami, a działacze chwalą wójta, burmistrza czy sołtysa. W małym środowisku trudniej grupę obywateli zlekceważyć, bo wszyscy się znają, choćby z widzenia. Społeczeństwo obywatelskie rozwija się od podstaw i u podstaw. O dziwo w małych środowiskach łatwiej o dotację i wsparcie. W zasadzie można powiedzieć, że każdy głos się liczy, szacunek dla obywatela jest większy. Widzimy to także na własnym przykładzie, z jednostkami samorządu lokalnego w tak zwanym terenie w wymiarze organizacyjnym współpracuje nam się lepiej. Prowincjonalni politycy i urzędnicy są prawie zawsze otwarci na współpracę, w przypadku większych miast – nie jest to regułą.

Na lekceważonej prowincji dzieją się rzeczy zupełnie niebywałe. Pojawiają się ludzie i byty nieodwracalnie zmieniające lokalną rzeczywistość. Wystarczy charyzma i entuzjazm, nie potrzeba struktur, pieniędzy i formalizowania społecznego bytu. Kiedy widzę wiele inicjatyw lokalnych, odczuwam bolesne ukłucie zazdrości dla siły charakterów i pomysłowości mieszkańców prowincji pracujących na rzecz swoich społeczności. Politycy lokalni wręcz się boją swoich organizacji pozarządowych, bo ich opinia o władzy może być decydująca nad kartką wyborczą. Ale ważny jest także wstyd, lokalni politycy nie chcą się wstydzić złych decyzji i lekceważenia mieszkańców.

W większych miastach ludzie znają się inaczej, znają się po linii partyjnej. W dostępie do łaski władzy są równi i równiejsi. Ci równiejsi niekoniecznie są lepsi, bardziej kompetentni, mobilni, potrzebniejsi czy z większym dorobkiem i osiągnięciami.

Obowiązują archaiczne układy i dziedziczne łaski, na garnuszku miasta żyją organizacje starych towarzyszy walki, których często jedyną troską jest ochrona miejsca pracy prezesa i jego sekretarki. W większych miastach władza łatwiej uderza do głowy, notabłami czują się nie tylko zasiadający w miejskich urzędach, ale wszyscy ich współpracownicy. O parlamentarzystach nie wspomnę, łatwiej chyba o papieską audiencję niż szczerze zainteresowanie parlamentarzysty dla lokalnego problemu i ludzi, którzy się z nim zmagają. Notable są ludźmi szalenie zajętymi, wiele imprez w regionie odbywa się pod ich patronatem, przyjeżdżają otworzyć imprezę i znikają po pierwszym wystąpieniu lub jeszcze w jego trakcie. Naiwnie myślałam, że tak po prostu musi być, tym większe moje zdziwienie, że za granicą jest inaczej i politycy siedzą na konferencjach do samego końca, rozpoczynają je i zamykają. Dostaje się mandat społeczny i natychmiastowo przestaje się cenić społeczeństwo. Parlamentarzyści odpisujący na listy – rzadkie zjawisko, dzięki Ci Panie za urzędników, którzy muszą w oznaczonym przepisami terminie.

W większych miastach dostrzegam jeszcze jeden paradoks. Mnożą się organizacje zakładane przez urzędników. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że dziwnym trafem te organizacje powielają pracę tych urzędników w urzędzie. To są po prostu starania o dodatkowy etat, kiedy łatwiej o szkolenia, *know how* o funduszach, zwłaszcza unijnych, dostęp do komisji konkursowych poprzez znajomych i przy nieprzejrzystych zasadach oceniania wniosków. W funduszach unijnych promuje się partnerstwo organizacji pozarządowych z jednostkami samorządu lokalnego. Takie partnerstwo to nie tylko wspólna praca czy cele, to czasami także pieniądze, które urząd musi wydatkować, żeby projekt wszedł w życie. O takie porozumienia, skutkujące zobowiązaniami finansowymi finansowanymi z pieniędzy podatników, urzędnikom-działaczom po prostu łatwiej. Tak jest na szczeblu lokalnym, tak jest na szczeblu krajowym. Takie organizacje to częstokroć efemerydy; powstają, by zdobyć dotację, a kiedy fundusze na

dany cel się kończą, organizacje znikają, choć nie znika problem, z którym – dzięki środkom – z takim oddaniem walczyły. Skutkiem jest problem ze znalezieniem porządných szkoleń. Czy to dla osób zagrożonych bezrobociem, czy to dla samych organizacji pozarządowych, czy urzędników większość takich szkoleń, wysoko płatnych dla prowadzących i organizatorów, ma nikłą wartość merytoryczną. Ale przecież nie o szkolenia chodzi, tylko o absorpcję środków unijnych. Byłam już na takich szkoleniach, gdzie całą wiedzę prowadzący ściągnął sobie z internetu i to niekoniecznie ze stron specjalistycznych.

Jakim cudem takie projekty są rozliczane? Nie ma z tym problemu, merytorycznymi aspektami nikt się nie zajmuje, to tak zwane papiery muszą się zgadzać; papiery, czyli faktury i rachunki. Jeśli, powiedzmy przykładowo, robimy szkolenie dla fryzjerek, to nikt nie sprawdza, czy wyszkolona osoba umie zrobić trwałą bez spalania klientce włosów, ale czy na rachunku wystawionym przez prowadzącego kurs zgadzają się dane osobowe, daty przeprowadzenia szkolenia i zrobienia przelewu oraz logo projektu odpowiednio umieszczone na każdym druku. Nie o to chodzi, że jestem zwolenniczką błaganu w papierach, ale zatracą się proporcje. Zdarzyło mi się błagać firmę o korektę faktury na kilkadziesiąt złotych po półtora roku, bo na komputerowym wydruku faktury była adnotacja: zapłacono gotówką, choć tak naprawdę zrobiono przelew, potwierdzony stosownym wyciągiem, a żadna gotówka z konta nie wypłynęła. Dziękowałam Opatrzności, że sklep jeszcze działał, a ekspedientka nie uznała nas za wariatki.

Urzednicy są różni, jak to ludzie. Różne są ich kompetencje i zaangażowanie. Poznałyśmy skądinąd sympatyczną dziewczynę, której jedyną troską jest zabezpieczanie sobie tak zwanych tyłów. Pisma od niej dostajemy w ostatnim możliwym terminie; nie w ostatnim dniu, ale w ostatniej godzinie. Korespondencja z nią też jest kuriozalna; gdy mamy coś zrobić, coś wyjaśnić, coś poprawić, dostajemy faksy, pisma, e-maile. Gdy dziewczyna coś namiesza, napsuje, pomyli się, to dzwoni do nas, żeby po jej pomyłce czy przeoczeniu, broń

Boże, nie pozostał żaden ślad i dowód. Lojalność korporacyjna jest powszechna, gdyby ktoś sądził, że dotyczy tylko lekarzy czy sędziów. Świadomość ułomnych kompetencji wśród wielu urzędników powoduje, że wzajemnie ukrywają błędy, mnożąc papieryska w sposób uniemożliwiający ewentualnym kontrolującym przebrnięcie przez nie. Nasza polska bylejakość utrzymuje się dzięki tej dymnej osłonie miliona papierów i nieprzejrzystej metodologii (uwaga – słowo klucz). Nie wszędzie przecież trafi NIK, Izba Skarbowa czy bystry prokurator.

Komisje konkursowe i sposoby oceniania wniosków to temat rzeka. Zasadniczy problem to nieskuteczność odwołań od werdyktu, bo jeśli środki na dane działanie zostały rozdysponowane, to odwołanie od decyzji komisji jest nieskuteczne, bo nawet jeśli opinia o odrzuconym projekcie zostanie zweryfikowana, to środków już nie ma, więc żadna dotacja nie zostanie przyznana, a o organizacji pozostanie opinia, że to pyskacze i roszczeniowcy. Zdarzały nam się dwie zupełnie wykluczające się opinie i oceny tak zwanych ekspertów. Zdarzały się jednocześnie opinie o projekcie: jest mało oryginalny i powiela stosowane powszechnie rozwiązania oraz nagroda dla tego samego projektu przyznana przez (w gruncie

rzeczy tę samą instytucję) za innowacyjność. Zdarzyło się, że żądano ode mnie następującego oświadczenia: Ja, Anita Kucharska-Dziedzic, legitymująca się dowodem takim a takim, upoważniam panią Anitę Kucharską-Dziedzic, legitymującą się dowodem takim a takim, do podpisywania umów w imieniu Lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet BABA. Nie żartuję. Oświadczenia takiego nie napisałam, dotacji nie otrzymałyśmy. Zdarzyło nam się, że zniknęły dokumenty dołączone do wniosku i odrzucono projekt z powodu braku załączników.

Ale nic to, ponarząkałam sobie i już się lepiej czuję. Takie problemy mają wszyscy, a jednak z powodu przeciwności nikt nie zawiesza działalności. Ludzie trzeciego sektora generalnie są uparci i zawzięci, słomiany zapał to rzadka przypadłość. Jak miło pomyśleć, co by było, gdyby było normalnie i utrudnienia psujące krew i odwracające uwagę od rzeczy ważnych się nie zdarzały. Ponarząkałam, bo to artykuł, a w druku zawsze lepiej wychodzą narzekania niż zachwyty. Na wszelki jednak wypadek: tam, gdzie krytykowałam lub piętnowałam, wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest niezamierzone i przypadkowe... Tak na wszelki wypadek.

